

LUDOVIC HALÉVY

---

# Najpiękniejsza

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

LUDOVIC HALÉVY

## Najpiękniejsza

TEUM. NIEZNANY

W dniu 19 Kwietnia 1889 roku, w Operze, podczas przedstawienia trzeciego aktu *Romea i Julii*, książę Agenor literalnie stracił głowę. Biegł od łoży do łoży, objawiając wszędzie tenże sam zachwyty.

— Ach! ta blondynka! Ach! jaka to blondynka! Ach! jaka to idealna blondynka! Wdzieliście tę blondynkę? Czy znacie tę blondynkę?

Jak na teraz, łoża to pani de Marizy, wielka parterowa łoża, tuż obok sceny położona, rozlegała się temi i tym podobnymi okrzykami uwielbienia.

— Jaką blondynkę? — spytała pani de Marizy.

— Jaktó! jaką? Jedna tylko jest *taka* w całej sali teatralnej! Spójrzysz pani przed siebie... tam w łoży piérwszopiétrowej... w łoży państwa de Sainte-Mesme. Przypatrz się jój pani baronowo, przypatrz się dobrze... Widzisz ją pani?

— Widzę. Niegodziwie ubrana, ale... niebrzydka.

— Niebrzydka! Cudo! Istne cudo! Niedobrze ubrana? no... tak! na to się zgadzam...

Państwo Sainte-Mesme mają rodzinę zamieszkującą okolice Perigordu: musi to być jakaś krewna z prowincyi. Ale jaki ma uśmiech! A jak osadzoną szyję! A jakie ramiona! Ach! szczególniej ramiona....

— Mój drogi panie, albo pan idź sobie, albo bądź cicho.... Przeszkadzasz mi pan słuchać Reszkego....

Książę poszedł więc sobie. Pokazało się, że nikt, ale to nikt zupełnie nie zna téj nieporównanej blondynki. Nieraz jednak była przedtém w Operze, ale na mieszczańskich miejscach: w łoży drugiego piętra. Dla księcia Agenora zaś po-za łożami piérwszopiétrowymi nic już nie istniało: próżnia tylko i nicosć ponad niemi. Noga księcia nigdy jeszcze nie powstała w łoży drugopiétrowej, a zatem — łoż drugopiétrowych nie było wcale na świecie.

Podczas gdy Romeo, klęcząc u nóg brata Laurentego, przysięgał, że wiekuiście kochać będzie Julię, książę błąkał się po kurytarzach Opery. Kim jest ta precudna blondynka? Książę Agenor chce to wiedzieć i koniecznie dowiedzieć się tego musi. Raptem przypomniał sobie książę, że ta pocziwa pani Picard jest tak zwaną *ouvreuse'ą* łoży państwa de Sainte-Mesme, i że on, książę Agenor de Nérius, ma zaszczyt być oddawna przyjacielem, blizkim przyjacielem téj pocziwój, téj nieoszacowanej pani Picard. Ona-to, w ostatnich latach drugiego cesarstwa, uczyła księcia bezika, oraz wszystkich odmian téj gry o tyle szlachetnej, o ile zajmującej; a mianowicie: bezika chińskiego, bezika japońskiego i t. d. Książę miał wówczas lat dwadzieścia, pani Picard — czterdzieści. Nie miała wówczas jeszcze posady, jaką zajmowała obecnie w narodowej Akademii muzycznej, gdzie powierzonym jej był urząd otwierania kilku łoż piérwszopiétrowych. Pełniła ona wtedy urząd inny — i nie synekurą będący — ciotką była młodziutkiój i nader miłej osóбки, którój przesliczna buzia i niemniej przesliczne nogi pokazywały się w teatrze „Variétés,” w sztukach stanowiących przegląd widowisk w ciągu roku przedstawianych. Książę, młodziutki jeszcze wówczas i zaledwie w świat wchodzący, przepędził sobie spokojnie ze trzy lub ze cztery lata życia pomiędzy tą ciotką a siostrzenicą, zupełnie jak w rodzinném kółeczku. Potém — one sobie poszły w swoją stronę, on w swoją i dopiéro w jakie lat dziesięć przynajmniej, gdy poszedłszy pewnego wieczoru na Operę, oddawał książę Agenor swój paltot niemłodej, czcigodnie wyglądającej damie, usłyszał powitalną mówkę:

— Ach! jakże się cieszę, że znowu księcia widzę! Nic się książę nie zmienił!.. Nic a nic! Zawsze jednakowy... Zupełnie jednakowy! Jakby miał lat dwadzieścia!

Witała go tak pani Picard, wyniesiona do godności oficjalistki Opery. Książę pogawędził z nią trochę, o tém i owém, trochę też o przeszłości, i od téj pory, nigdy nie przeszedł obok pani Picard, nie pozdrowiwszy jęj uprzejmém kiwnięciem głową, na co ona odpowiadała pełném uszanowania powitaniem. Należała bowiem do tych osób, coraz to dzisiaj rzadszych, które, posiadając wielki ów przymiot, taktem zwany, potrafią pojąć różnicę stanowiska towarzyskiego i do nięj postępowanie swoje zastosować. W głosie jęj przecież, gdy wymawiała *książę*, słyhać było niby pozostałość jakąs dawnęj poufałości, nieledwie przywiązania, czego wcale nie miał jęj za złe książę Agenor. Przeciwnie, zachował on o pani Picard jak najlepsze wspomnienie.

— Ach! proszę księcia, — odezwała się pani Picard, ujrawszy go, idącego kurytarzem, — niema dziś w *moich* łóżach żadnéj z pań znajomych księcia. Pani de Simiane nie przyjechała, a pani de Sainte-Mesme oddała łóżę...

— Właśnie też o to mi chodzi. Nie wiesz pani, kto siedzi w łóży pani de Sainte-Mesme?

— Nie wiem. Po raz piérwszy widzę tych państwa w łóży pani margrabiny.

— Nie masz pani nawet pojęcia, kto to taki....

— Żadnego. Tylko.... zdaje mi się, proszę księcia, że ci państwo nie należą do....

O mało co nie powiedziała: do *naszego świata*. Taka jejmość, otwierająca wieczorem piérwszopiętrowe łóże Opery, miewa tylko zazwyczaj do czynienia z ludźmi *dobrze urodzonymi* i niezmierną też okazuje wzdargę dla ludzi należących do niższych sfer towarzyskich: niemiła to rzecz dla nięj otwierać *swoje* łóże ludziom tego gatunku.

Z tym wrodzonym wszakże taktem, który ją rzadko opuszczał, potrafiła pani Picard powstrzymać się w samę porę i dodała:

— Nie należą do świata, w którym książę bywa.... To jacyś mieszczanie... dobrze się mieć muszą, ale zawsze to mieszczanie. Nie wystarcza księciu ta wiadomość... Książę chciałby się dowiedzieć coś więcéj... z racy téj blondyneczki.... Prawda?

Te ostatnie wyrazy wyrzekła z delikatnością, opisać się nie dającą — wyszeptala je raczej! Odźwierna, mówiąca coś podobnego do księcia? ach! to było-by nie do zniesienia, gdyby odźwierna nie wymówiła słów tych z niezrównanym taktem, objawiającym się tak w samych-że wyrazów doborze, jak i w tonie, którym wymówione zostały. Tak! odźwierna to mówiła, ale — odźwierna, *ciocią* jeszcze po troszę będąca, ciocią, daleką wprawdzie, ale uznaną za ciocię w krainie, rządzonej prawami miłości. Dalej więc jeszcze prawila pani Picard:

— Prześliczna to osoba! Przyszła z jakimś brunecikiem... to pewno mąż? bo przez cały czas, co zdejmowała z siebie okrycie, a to zawsze trochę czasu zabierze, nie odezwał się do nięj ani słowa... Nie nadskakiwał jęj, o nie! ani trochę... tak, tak, to pewno mąż! tylko mężowie tak robią. Przypatrzyłam się okryciu... Zawsze i to budzi ciekawość, szczególnięj, jak się kogoś nie zna... to też obie z panią Flochet, moją *kolegą*, zabawiamy się próbując zgadywać po rzeczach. Otóż, proszę księcia, płaszcz pochodzi z dobrego magazynu, ale nie z żadnego z najpiérwszych... Przyzwoity, porządny, ale niema tam *szyku*. Jak ja sobie myślę, proszę księcia, to pewno nie co innego, jak z bogatych mieszczanek... Ale jakaż ja niemądra! Książę zna przecie pana Palmera? prawda? A pan Palmer był tylko co z wizytą u téj piéknęj blondynki.

— Pan Palmer?

— Tak. Od niego dowiē się książę jęj nazwiska.

— Dziękuję, pani Picard; bardzo pani dziękuję.

— Do miłego widzenia z księciem, do widzenia.

I wróciła pani Picard na zwykłe miejsce, a siadając na stolku obok pani Flochet, swojej *kolegi*, mówiła:

— Ach, pani kochana, jakiz to miły człowiek, ten książę! Doprawdy, niema to, jak ludzie dobrze urodzeni!

Książę Agenor świadczył ten zaszczyt Palmerowi — temu grubemu, bogatemu, próżnemu Palmerowi — że pozwalał mu się zaliczać do swych przyjaciół; raczył też laskawie (i to nawet dość często) zwierzać się Palmerowi ze swoich kłopotów finansowych, a bankier zawsze jak najchętnięj przychodził mu z pomocą; za co książę rad nie rad wejść musiał do

dwóch komitetów, których prezesem był Palmer, a temu znów bardzo było miło czuć, że ma prawo do wdzięczności przedstawiciela jednej z najstarszych rodzin szlacheckich we Francji. Książę zresztą, łaskawym okazywał się księciem: publicznie przyznawał się do Palmera, ukazywał się w jego łóżach, urządzał jego przyjęcia, zajmował się jego wyścigową stajnią. Posunął nawet do tego stopnia swoją wdzięczność, że skompromitował panią Palmer, i to bardzo — najbardziej jak mógł. „Oskrobuję z niej mieszczaństwo, — mawiał, — należy się to ode mnie Palmerowi, który jest najpoczciwszym człowiekiem pod słońcem.

Książę udał się do łoży bankiera; zastał go w niej samego.

— Ta blondynka? jak się nazywa ta blondynka w łoży pani de Sainte-Mesme?

— Pani Dagand.

— Czy jest i jaki pan Dagand?

— Ma się rozumieć, że jest! Regent. Mój regent... jest także regentem państwa de Sainte-Mesme. A jeżeli książę chcesz przyjrzyć się bliżej pani Dagand, to bądź u mnie na balu w przyszły Czwartek. Obiecała być na balu...

Zona regenta — regentowa! Więc była to tylko regentowa! Książę zasiadł w łoży pani de Marizy, naprzeciwko łoży pani Dagand, i przyglądając się tej „tylko regentowej” rozmyślał.

— Będę-ż miał, — mówił sobie, — tyle powagi, tyle wiary u ludzi, ażeby zrobić z takiej pani Dagand najpiękniejszą w całym Paryżu osobę?

Bo zawsze jest jakaś *najpiękniejsza w całym Paryżu osoba*, i on-to, książę Agenor, rościł sobie teraz pretensją do wykrycia, do ogłoszenia, do ukoronowania, oraz do namaszczenia na królową tej — najpiękniejszej! Wprowadzić w modę panią Dagand, *lansować ją*, jak się to mówi w języku wielkiego świata? A dlaczegożby nie? Nigdy jeszcze nie *lansował* mieszczańki. Było-by to przedsięwzięcie nowe, zabawne i śmiałe. Przyglądał się pani Dagand przez lornetkę i w ślicznej jej twarzy coraz to nowe powaby odkrywał i nowe doskonałości.

Gdy, po skończonem już widowisku, wychodzić zaczęto, książę stanął na dole, zaraz obok głównych schodów. Pociągnął tu za sobą dwóch przyjaciół swoich:

— Chodźcie, — rzekł im, — pokażę wam najpiękniejszą osobę w Paryżu.

Gdy wymawiał te słowa, stał o dwa kroki od niego kręcicki i żwawy młodzik jakiś, należący do redakcji jednego z najpoczytniejszych dzienników porannych. Młodzieniaszek ów miał słuch bardzo bystry: w lot schwycił słowa księcia Agenora, którego wysokie stanowisko światowe było mu znane; potrafił trzymać się blisko księcia i podsłuchać, nie straciwszy ani słowa, wszystko, co mówili między sobą trzej eleganccy panicze w chwili, gdy pani Dagand przechodziła mimo nich. W kwadrans potem, zjawił się młodzieniaszek w redakcji swego dziennika.

— Czy czas jeszcze, — zapytał, — dodać z dziesiątek wierszy do *Notatek wielkoświatowych*?

— Jeszcze czas, ale śpiesz się pan.

Młodzieniec nie lenił się do roboty i w mgnieniu oka załatwił się ze swoim dziesiątkiem wierszy, których napisał z piętnaście. Przyniosły one reporterowi siedm franków i pięćdziesiąt centymów, ale pana Dagand naraziły na daleko większy wydatek.

Przez ten czas, książę Agenor, zasiadając w klubie do wista, mówił, tasując karty:

— Była dziś w Operze precudownej urody kobieta! Niejaka pani Dagand.... Najpiękniejsza osoba w całym Paryżu!

Nazajutrz zaś rano, w lasku, w zbornym punkcie ploteczek paryzkich, w blasku wiosennego słońca, książę, otoczony gronkiem słuchających go z poszanowaniem uczniów, z wysokości dereszowatej klaczy swojej, uroczyście ogłaszał następujący wyrok:

— Uważajcie, co wam powiadam. Najpiękniejszą w Paryżu kobietą jest niejaka pani Dagand.... Gwiazda ta widzialną będzie we Czwartek u Palmerów. Idźcie i nie zapomnijcie tego nazwiska: Pani Dagand.

Rozproszyli się uczniowie i po całym świecie głośić zaczęły ważną owę nowinę.

Pani Dagand była jak najstaranniej wychowywana przez najzacniejszą z matek; nauczono ją, że obowiązkiem jest wstawać rano, skrupulatnie prowadzić rachunki domowe, nie dawać do roboty sukien w najpiérwszych magazynach, męża kochać, w Pana Boga wierzyć, odwiedzać ubogich i nie wydawać więcej nad połowę dochodu, aby posagi dla

córek przysposobić. Pani Dagand nie uchybiała żadnemu z tych obowiązków. Wiodła życie spokojne i zadowolone w starém domowstwie, położoném przy ulicy Smoka, pod którego dachem żyły już, od roku 1825, trzy małżeńskie pary Dagandów: mężowie — wszyscy trzej regenci; kobiety — wszystkie trzy cnotliwe. Trzy owe stadła używały tam szczęścia umiarkowanego i zawsze jednostajnego, nie zaznawszy ani wielkich rozkoszy, ani téż wielkich utrapień.

Nazajutrz, koło ósmej rano, obudziła się pani Dagand trochę niby niezdrowa. Całą noc przepędziła niespokojnie, choć zazwyczaj spała smacznie i mocno, jak dziecko. Wczoraj, w operze, w téj łoży, niewyraźnie czuła pani Dagand, że dzieje się koło niej coś dziwnego. Przez cały akt ostatni, uparcie zwrócona na nią lornetka, — lornetka księcia, jak wiadomo, — sprawiała jój pewien rodzaj wzruszenia, wcale zresztą przyjemnego. Miała suknię bardzo wyciętą — matka twierdziła nawet, że za bardzo — i wobec uporu téj lornetki, kilka razy podnosiła trochę ramiączka stanika. I teraz oto, otworzywszy oczy, zamknęła je znowu pani Dagand, leniwa, rozspana... Myślą pomiędzy snem a rzeczywistością błądząca, wracała do sali Opery i widziała zwróconych na nią, — na nią jedną tylko sto, dwieście, pięćset uparcie patrzących lornetek.

Weszła pokojówka i postawiwszy na stoliczku przyniesioną tacę, rozпалиwszy na kominku dobry ogień, odeszła. Na tacy stała filiżanka czekolady, obok której leżał dziennik, ten sam, co zawsze. Wtedy bohaterskim wysiłkiem podniosła się pani Dagand z łóżka, wsunęła małe białe baczki w pantofelki, futrem wyłożone, otuliła się kaszmirowym, białym szlafrocikiem i, trochę z zimna drżąc, wygodnie sobie usiadła w fotelu, stojącym niedaleko ognia. Dotknęła ustami brzegu filiżanki i sparzyła się troszkę; trzeba czekać aż czekolada wystygnie. Postawiła więc filiżankę, wzięła dziennik, rozłożyła go i szybko przebiegła spojrzeniem sześć kolumn, z których składała się pierwsza stronnica.

U samego dołu szóstej, ostatniej kolumny znajdowały się następujące wyrazy:

„Wczoraj w wieczór, w Operze nader świetne przedstawienie *Romea i Julii*. Mnóstwo pań z wielkiego świata: piękna księżna de Montaignon, śliczna hrabina de Sardac, precudowna margrabina de Muriel, ponętna baronowa de..

Chcąc przeczytać nazwisko baronowej, trzeba było przewrócić stronicę; nie odwróciła jój pani Dagand. Przypominała sobie, rozmyślała. Dla zabawki prosiła wczoraj Palmera, by jój nazwał znane z elegancyi wielkie panie, znajdujące się w sali, i właśnie pokazał jój bankier i nazwał tę „precudowną” margrabinę. Otóż, pani Dagand była tego zdania, że przymiotnik to niezwykle zuchwały. Precudowna ta margrabina miała bowiem, lekko licząc, czterdzieści lat.

I pani Dagand, mająca zaledwie dwadzieścia dwa, uniósłszy się trochę, by się przejrzeć w lustrze, zamieniła uśmiezek z blondynką młodziutką, różowiotką, bielutką...

— Ach! — rzekła do siebie, — gdybym ja była margrabiną, ten pan, który to pisze, zwrócił-by może na mnie uwagę. Może-by i moje nazwisko tutaj stało? Jak to musi być zabawnie widzieć nazwisko swoje wydrukowane w dzienniku?!

Zadając sobie takie pytanie, odwróciła pani Dagand stronicę i dalej czytała:

„... ponętna baronowa de Myrvoix i t. d. *Zaznaczyć musimy* ukazanie się nowej gwiazdy, która raptem zabłysnęła na widnokregu paryzkim. Całą salę przejmowała zachwytem blondynka, dziwnie „drażniący” piękna, o ciemnych oczach stalowych. Ramiona jój... Ach! jakie ramiona! Ramiona te były najważniejszym wypadkiem wieczoru. Na wszystkie strony pytano; „Kto to taki? Kto to taki? Kim jest właścicielka tych ramion?” Kim jest? Wiadomo nam to, i czytelnicy nasi wdzięczni nam będą, gdy im wyjawimy nazwisko téj idealnie cudownej piękności. Pięknością tą jest pani Dagand...”

To jój nazwisko! Swoje wyczytała nazwisko! Aż jój się zakręciło w głowie i pociemniało w oczach. Wszystkie litery alfabetu poczęły wyprawiać szalone pląsy na stronicach dziennika. Po chwili zaledwie uspokoiły się, zatrzymały, popowracały na swoje miejsca. Wtedy dopiero odnalazła swoje nazwisko i dalej czytać mogła:

Tą piękną jest pani Dagand, żona jednego z najmiłszych oraz najbogatszych regentów Paryża. Książę de Nérius, którego słowo jest w podobnych kwestyach wyrocznią, mówił wczoraj wieczorem każdemu, kto go chciał słuchać: „To najpiękniejsza osoba w Paryżu!” Zupełnie podzielamy jego zdanie.

Punkt i kréska, i na tém koniec. Wystarczało tu zupełnie. Kto wie? zanadto może było tego. Czula pani Dagand, że ją ogarnia nadzwyczajne, nieokreślone wzruszenie: coś nakształt mieszaniny bojaźni z radością, wesela z zawstydzeniem, zadowolnionej miłości własnej z obrażoną skromnością niewieścią. Poły szlafroczka odchyliły się trochę, zsunęła je gwałtownym prawie ruchem i skrzyżowała na nóżkach, które raptownie w tył, pod fotel cofnęła. Przez chwilę jęć się zdawało, że rozebrana stoi wobec tłumu nieznajomych sobie ludzi, że cały Paryż zbiegł się do jęć małżeńskieji komnaty sypialnej i że w piérwszym rzędie tego tłumu on stoi, on, książę de Nérius, i woła do wszystkich: „Patrzajcie państwo! Patrzajcie! To najpiękniejsza osoba w Paryżu!”

Książę de Nérius! Znane jęć było to nazwisko, z żywą bowiem ciekawością czytywała po dziennikach artykuły, noszące tytuły: *Życie paryzkie*, *High-life*, *Echa wielkoświatowe* i t. d.; z równem téż zajęciem czytywała kroniki, podpisywane: *Fatalaszka*, *Cacko*, *Wolutyna*, *Muślinowy obłoczek*, jak i opisy eleganckich ślubów, wielkich balów, świetnych przedstawień teatralnych i bazarów na rzecz ubogich. W artykułach tych i kronikach, zarówno jak i w opisach, powtarzało się ciągle nazwisko księcia, a zawsze wspominało je i przytaczano, jako najwyższą wyrocznią we wszystkich kwestyach, tyjących się elegancy i mody wielkiego świata paryzkiego.

I on-to ogłosił ją teraz za najpiękniejszą! O! stanowczo, zadowolenie przeważało w nięć teraz nad obawą. Cała jeszcze drżąca ze wzruszenia, pani Dagand stanęła przed ogromnym staroświeckim, do podłogi sięgającym zwierciadłem, w którym dotąd odbijały się tylko postacie poczciwych mieszczanek, wydanych za poczciwych regentów. Zaczęła się przegłądać w niem, przypatrywać sobie długo, chciwie, ciekawie... szczegółowo pięknóć swoję badając. Zapewne, wiedziała, że jest ładną; teraz jednak... o potęgo słowa drukowanego! nabrała przekonania, że jest przecudowną. Przestała być panią Dagand, była już „najpiękniejszą” w całym Paryżu kobietą. Nóżki jęć, te maleńkie, bosc — (nie wstydziała się już teraz ich widoku) — zdawały się nie dotykać ziemi: na obłokach niesiona, wlatywała powoli w niebiosy, czula, że się boginią staje.

Nagle ogarnął ją niepokój wielki: „Edward? Co powie Edward?” Edward, był to jęć mąż. Nikogo w życiu, żadnego mężczyzny, prócz męża, nie nazywała chrzestnym imieniem. Kochała swego regenta! I w téj że prawie chwili, gdy zadawała sobie pytanie, co na to Edward powie, otworzył raptem drzwi — Edward.

Tak! on to był, zdyszany trochę, biegł bowiem, przeskakując po kilka schodów odrazu. Spokojnie grzebał się w szpargałach, siedząc w kancelaryi, na dole w tym-że samym domu położonej, gdy jeden z kolegów, nie szczędząc przytém powinszowań, przyniósł mu do przeczytania wyżej wspomniany artykułik.

Prędko pozbył się kolegi i, cały wzburzony, wpadł do pokoju żony, wybuchając gwałtownym potokiem słów:

— Do czego się już nie wtrąca ci dziennikarze! To niegodziwość! Twoje nazwisko... patrz! o! tu! twoje nazwisko w tym dzienniku!

— Tak... wiem. Widziałam.

— Jakto! wiesz, widziałas, i uważasz to za rzecz naturalną?

— Mój drogi!

— W jakich-że czasach żyjemy! Bo téż jest w tém trochę twojéj winy.

— Mojéj!

— Naturalnie, że twojéj.

— A to jakim sposobem?

— Miałaś wczoraj wieczorem na sobie suknią mocno wyciętą, bardzo mocno, nadto mocno wyciętą... Matka twoja mówiła ci to przecie.

— O! mama...

— Nie można mówić: „O! mama!” Mama miała słuszość... Patrz! czytaj! *Ramiona jój... Ach! jakie ramiona!* To przecie o twoich ramionach mowa... *o two-ich*. Dobry jest ten książę, który pozwala sobie ogłaszać cię za najpiękniejszą...

Miał on strasznie mieszczańskie pojęcia, uczciwy ten człowiek, barbarzyńskie jakieś pojęcia przedpotopowych regentów, mieszkających przy ulicy Smoka; regenci bowiem z bulwaru Malesherbes są już innymi.

Łagodnie, słodziutko potrafiła pani Dagand uspokoić to gniewne oburzenie. Bez wątpienia, słowa jój wiele miały wymowy i wdzięku, ale o ileż więcej wdzięku było i wymowy w słodkiej pieszczotliwości spojrzenia jój i uśmiechu!

— O co ten gniew tak srogi i ta rozpacz tak wielka? Obwiniają cię o to, żeś mężem najpiękniejszej w Paryżu osoby? Co w tém okropnego? czy to tak wielkie nieszczęście? Któremuż z kolegów, z tych dobrych, kochanych kolegów, chciało się po to umyślnie przyjść, by zwrócić twoją uwagę na ten obrzydliwy artykuł?...

— Panu Renaud.

— A! panu Renaud! Pocziwy, kochany pan Renaud.

Usłyszawszy to, śmiać się zaczęła pani Dagand i aż się zaniosła od śmiechu. Śmiała się tak, że aż się rozrzuciły źle związane jasne jój włosy i złotą niby ramą objęły śliczną tę twarzyczkę, oświeconą dwojgiem ciemnych oczu, które umiały, o! umiały (jeżeli im się to podobało) wdzięczyć się, przymilać i patrzeć słodko, miłośnie.

— A! więc powiedział ci to pan Renaud, mąż prześlicznej pani Renaud! Tak? a czy wiesz, co teraz zrobisz?... teraz, zaraz, natychmiast, nie tracąc ani minuty czasu? Oto pobiegiesz do prezesa trybunału i będziesz go prosił o rozwód... Powiesz mu: „Szanowny panie Autépin, proszę, uwolnij mnie pan od mojej żony... To zbrodniarka: pozwala sobie być ładną, bardzo ładną, zanadto ładną. Ja zaś chcę mieć inną żonę: żonę brzydką, żonę bardzo brzydką, z nosem tak ogromnym, jak nos pani Renaud, z tak olbrzymimi nogami, jak nogi téj pani, z równie śpiczastym podbródkiem, równie kościstymi ramionami i z taką jak u niéj wysypką wiekuistą na twarzy.” Takiéj ci żony potrzeba? prawda? Czemuż nie odpowiadasz? mów! Oj, mężusiu, duży taki a niemądry! pocałuj-że biedną żoneczkę i przebac jój, że nie jest potworem.

Ponieważ mówce powyższej towarzyszyły dość żywe ruchy, takt do niéj wybijając, przeto biały kaszmirowy peniuar zsunął się, bardzo się zsunął, roztworzył się, bardzo się roztworzył i występne owe ramiona znalazły się tuż pod ustami pana Dagand. Potrzebował tylko schylić się, by dotknąć ich ustami... Schylił się! I on także zresztą podlegał szkaradnym wpływom prasy. Nigdy jeszcze żona nie wydała mu się tak ładną, jak dziś rano. Przywołany do porządku, pan Dagand powrócił do swojej kancelaryi, aby zarabiać w niéj pieniądze dla najpiękniejszej w Paryżu osoby.

W porę właśnie przystąpił do tego zajęcia, bo zaledwie pani Dagand pozostała samą, przyszła jój do głowy myśl, która wyciągnąć miała sporą paczkę biletów bankowych z kasy regenta, mieszkającego przy ulicy Smoka. Pani Dagand miała dotychczas zamiar włożyć na zebranie do Palmerów suknię, która liczyła już sobie długie lata służby. Dotychczas ubierała się jeszcze pani Dagand u szwaczki, która robiła jój ślubną suknię i ubierała jój matkę, a mieszkała po lewej stronie Sekwany, w nieeleganckiej dzielnicy Paryża. Teraz jój się zdawało, że nowe stanowisko wkłada na nią nowe obowiązki. Nie mogła pokazać się u Palmerów inaczej, jak w sukni, której nikt jeszcze nie widział, w sukni wyszłej z rąk pierwszorzędnej znakomitości krawieckiego zawodu. Po południu kazała więc zaprzędz i śmiało rzuciła stangretowi adres jednego z najsłynniejszych krawców damskich. Stanąwszy przed przybytkiem niezrównanego artysty, wzruszona nieco, przeciskać się musiała, chcąc dotrzeć do niego, przez istny tłum lokai, zebranych w przedpokoju, gdzie na śmiechach i gawędzie spędzać zwykli długie godziny oczekiwania. Wszyscy oni prawie należeli do „towarzystwa,” do wielko-światowego „towarzystwa:” wczorajszy wieczór spędzili razem w ambasadzie angielskiej, a dziś wieczorem znowu się zejść mieli u księżnej de Trémoille.

Pani Dagand weszła do salonu, wspaniale, bardzo wspaniale, zanadto wspaniale urządzanego. Było tam ze dwadzieścia stałych a bogatych klientek: królowe salonów i królowe sceny, niespokojne, wzruszone, rozgorączkowane.... Wszystkie przypatrywały się z zajęciem wysokim, kształtnym pannom, tak zwanym „pannom od chodzenia,” ubranym na



pokaz dla klientek w najświeższe pomysły właściciela magazynu. Wielki ów mistrz, arcy-mistrz mody, znajdował się tam również, surową powagą stroju do dyplomaty podobny. Tużurek miał czarny, na wszystkie guziki zapięty, krawat o długich końcach z piękną szpilką, ofiarowaną mu przez pewną „jój Książęcą Wysokość” (powoli płacząc rachunki) a w dziurce od guzika wstążeczkę orderową, będącą znowu darem pewnego udzielnego książątka, (które to książątko powolniej jeszcze płaciło rachunki jednej z tancerek Opery). Chłodny, nieporuszenie spokojny, poważny razem i wytworny, przechodził on od jednej klientki do drugiej, a błagania ich, prośby, wołania, ścigały go i towarzyszyły mu wszędzie. „Panie Arturze! panie Arturze!” słowa te zewsząd słyhać było. On to był tym „panem Arturem” i przez wszystkie błagalnie przywoływany, powoli wszystkie obchodził, z księżniami uszanowania pełen, ale nie do zbytku pokorny, z aktorkami poufały, ale nie zbyt spoufalony. Ciągły i nieustający ruch panował w tym wspaniałym salonie, wśród nagromadzenia przecudownie pięknych aksamitów, atlasów, brokateli, złotem i srebrem litych, lub złotem i srebrem haftowanych materyi, na chybił trafił, bezładnie — a jak przecie umiejętnie! porzrzucanych po sofach, stołach, fotelach, wszędzie, gdzie tylko rzucić je można było.

Pani Dagand natknęła się u wejścia na jedną ze szwaczek, niosącą na obu rozpostartych rękach lekką, białą suknię, istną górę z muslinu i koronek, z za której zaledwie trochę widać było czarną, rozczochraną czuprynkę młodej szwaczki i sprytnie przebiegłą jój minkę, właściwą dziecięciu przedmieściowego pospólstwa.

Cofnęła się pani Dagand pod ścianę, chcąc z drogi ustąpić szwaczce, ale tam pod ścianą stała znowu jedna z panien „od przymierzania” wysoka brunetka, o energicznym wyrazie twarzy, i rozkazującym głosem wołała przez tubę:

— Przynieść tu proszę natychmiast suknię księżnej! Natychmiast!

Zmieszana, odurzona, pani Dagand skryła się w jakimś kąciku, czyhając na sposobność, wyglądając szczęśliwej chwili, w której uda się jój pochwycić w przelocie jedną z panien. Miała już prawie ochotę dać wszystkiemu za wygraną. Nigdy, o! nigdy, nie zdobędzie się na odwagę rozpoczęcia rozmowy z tym groźnym, z tym okropnie imponującym „panem Arturem!” W przelotnym spojrzeniu, jakie na nią był rzucił, wyczytała, (a przynajmniej czytać mniemała:) „A to kto taki? Ktoś nieubrany wcale! Robi jój suknie szwaczka z tamtego brzegu Sekwany!”

Wreszcie udało się pani Dagand złapać jedną z niezajętych w téj chwili panien „od przedawania,” która, rzuciwszy jój także samo leciutko wzgardliwe spojrzenie, dodała do niego pytanie:

— Pani nie należy do stałych klientek magazynu?

— Nie, nie należę.

— Pani sobie życzy?

— Sukni, balowej sukni... Potrzebna mi na Czwartek wieczorem...

— Na przyszły Czwartek?

— Tak, na przyszły.

— O! proszę pani, to niepodobieństwo! Nawet dla stałej klientki nie moglibyśmy wydzyszczyć na Czwartek.

— Ja-bym przecie tak chciała mieć tę suknię....

— Niech pani pomówi z panem Arturem... Może on przystanie. Jeżeli przystanie....

— Gdzie jest pan Artur?

— W swoim gabinecie. Dopiero co wszedł do gabinetu. Tu, proszę pani, naprzeciwno.

Przez drzwi napół uchylone spostrzegła pani Dagand pokój, z surowym i poważnym przepychem umeblowany: prawdziwy ambadorski gabinet! Na ścianach cztery ogromne fotografie czterech monarchiń, lub następczyni tronów europejskich... W tym-to gabinecie szukał pan Artur chwilowego po trudzie wytchnienia i siedział teraz właśnie w postawie cechującej znużenie i wyczerpanie, zagłębiony w olbrzymim fotelu, z dziennikiem na kolanach rozłożonym.

Ujrawszy wchodzącą panią Dagand, podniósł się z miejsca uprzejmie; ona drżącym głosem powtórzyła żądanie, z jakim do magazynu przybyła.

— O! pani! sukni na Czwartek? balowa, strojna tualeta? Nie, pani! nie mogę się zobowiązywać, nie potrafiłbym dotrzymać. Są odpowiedzialności, których nigdy nie biorę na siebie.



Mówił to powoli, z powagą, tonem człowieka, który należycie pojmuję ważność swego położenia.

— Ach! jakże mi przykro! Jakie to dla mnie zmartwienie! Koniecznie, ach! koniecznie potrzebuję tej sukni. Powiedziano mi, że od pana tylko zależy....

Nie mogła dokończyć! Dwie lzy, dwie niewielkie, prześliczne łezki perełkami na rzęsach jej stanęły. Pana Artura ogarniać zaczynało wzruszenie. Kobieta, i to jeszcze taka piękna, płacze tu, przed nim.... Genialności jego nikt jeszcze takiego hołdu nie złożył!

— Mój Boże, skoro pani tak tego pragnie, postaram się... spróbuję... Skromną jakąś sukienkę...

— O! nie... Nie skromną... Owszem, bardzo strojną, bardzo świetną... Najświetniejszą, jak można.... Dwie moje przyjaciółki są pana klientkami.

Tu wymieniła ich nazwiska.

— Ja zaś, jestem panią Dagand...

— Panią Dagand! Pani jest panią Dagand?

Prawdziwa zmiana dekoracji, zupełnie jak w teatrze! Po tych dwóch: *panią Dagand!* nastąpiło spojrzenie i uśmiech. Spojrzenie dostało się dziennikowi, uśmiech pani Dagand; był to jednak uśmiech dyskrecją powściągnięty, wstrzemięźliwy, delikatny, uśmiech człowieka jak najlepiej wychowanego. Uśmiech ten zaś i spojrzenie mówiły wyraźnie, najwyraźniej jak można:

— A! więc to pani jest panią Dagand, tą dziś już sławną panią Dagand, która była wczoraj w Operze... A! rozumiem już, rozumiem... Przed chwilą właśnie czytałem w dzienniku artykuł... Nie potrzebuje mi już pani nic mówić... Wiem już wszystko... wiem... Trzeba było powiedzieć mi od razu nazwisko: pani Dagand! Tak! wiem, że pani potrzebuje sukni... Tak! będzie pani miała suknię.... Tak! chcę mieć udział w tryumfie pani....

Począł zawołał pan Artur:

— Panno Blanko, prosimy tu zaraz! Panno Blanko!

I odwracając się do pani Dagand, zapewnił ją:

— To niepospolita osoba... Ale niech pani będzie spokojna... Sam się zajmę... sam! tak, pani, sam!

Pani Dagand trochę była zawstydzona, troszeczkę swoim rozgłosem i sławą zmieszana, ale bardzo przecież kontenta. Nadbiegła też i panna Blanka.

— Proszę zaprowadzić panią do miary, — rzekł pan Artur. — Trzeba wziąć miarę na suknię balową... bardzo wyciętą... ręce niczym niezakryte... Przez ten czas ja myśleć będę... Pomyślę.... Może mi się uda, wymarzyć... wymyślić coś dla pani... Trzeba coś zupełnie nowego. A! jeszcze chwileczkę... Przed odejściem niech pani pozwoli....

Wolnym bardzo krokiem obszedł panią Dagand naokoło, przyglądając się jej z jak najgłębszą uwagą; potem odsunął się od niej trochę i zdala przyglądać się jej zaczął. Twarz jego miała wyraz powagi, stroskania, niepokoju. Wielki mędrzec rozwiązujący wielkie a zawile zadanie! Ręką przeciągał po czole, oczy w niebo podnosił, wśród bólów porodu natchnienia szukając...

Nagle rozjaśniło mu się oblicze: głos z góry dał się słyszeć wzywającemu.

— Proszę... proszę... niech pani raczy przejść do miary... Mam już suknię dla pani... Panno Blanko, wracając, proszę mi tu przynieść tę sztukę różowego atlasu... wie pani? tę, którą chowałem na wypadek... w razie czegoś ważnego...

Za chwilę ujrzała się pani Dagand sam na sam z panną Blanką, w saloniku, gdzie mierzono paniom suknie, podobnym do budki, z lustrzanych ścian ustawioną.

Gdy w jaki kwadrans potem wróciła pani Dagand po zdjęciu miary, znalazła pana Artura otoczonego stosem sztuk atlasów we wszystkich kolorach, krep, tiulów, koronek, gipiur, broszowanych materyi...

— Nie, nie, — oświadczył pannie Blance, która niosła mu wyżej wspomnianą sztukę atlasu, — niepotrzebny już atlas różowy... Mam coś lepszego... Niech pani słucha, panno Blanko, niech pani mnie słucha uważnie... Trzeba zrobić tak: Usuwam kolor różowy i stanowczo obieram dla pani ten atlas koloru kwiatu brzoskwiniowego. Tak więc pani zrobi: suknię wązka, staroświeckim krojem, tak zwany „fourreau.” Taka tylko suknia rysuje wytworne linie ciała, pozwala zgadywać delikatne i gibkie jego kształty.... Suknia powinna być wązka, obcisła prawie, bez spodnic.... Jedwabne tylko spodniczki... Trzeba

żeby oblepiała prawie panią.... Słyszysz pani, panno Blanco? żeby ob-le-pia-ła.... Na takiej sukni udrapujemy krepę... ot, tę! udrapujemy ją leciutko, w niewielkie, bardzo niewielkie fałdy... Powinna wyglądać niby zarzucony na suknię obłok... przezroczysty, rozwiewny, niepochwytny... Ręce obnażone po same ramiona, mówiłem to już pani, panno Blanco? Zupełnie obnażone! Na ramionach, nic, prócz skromnej jakiejś kokardy, przepięcia, z pod którego dobrze widać ramię... Z czego zrobić przepięcie? Nie wiem... waham się jeszcze... Potrzebuję namyślić się... Niech pani raczy powrócić jutro.... Do jutra, pani, nie prawdaż? Do jutra!

Pani Dagand powróciła nazajutrz, i znowu nazajutrz po owym „jutrze,” i powracała tak codziennie aż do Środy, poprzedzającej ów sławny Czwartek. A za każdym razem, czekając aż na nią przyjdzie kolej przymierzania, obstałowała sobie jakąś sukienkę, skromniutką wprawdzie, bardzo skromną, ale zawsze przecie wynoszącą od siedmiuset do ośmiuset franków.

Nie dość na tym. Gdy za pierwszą swoją bytnością u pana Artura, wychodziła pani Dagand z podwoi, prowadzących do tego przybytku mody, widok jej karetki ciężką zadał jej boleść... bardzo ciężką! Smutnie bo, ach! jak smutnie wyglądała ta karetka wpośród arcy-wspaniałych ekwipaży, które, trzema stojąc rzędami, zajmowały połowę szerokości ulicy. Karetka to była jeszcze nieboszczki jej świekry, i od piętnastu już lat się wysługując, dziś jeszcze turkotała po bruku ulic Paryża. Pani Dagand po to tylko wsiadła do tej oplakaną karetki, aby się kazać zawieźć do słynnego karetnika...

Wieczorem zaś, zręcznie skorzystawszy z psychologicznego momentu, wytłómaczyła panu Dagand, że widziała taką sobie niewielką, czarną, takim sobie ciemno-błękitnym atłasem wybitą karetkę, która pasowała-by w sam raz... ach! jakby pasowała prześlicznie! do nowych sukienek pani Dagand.

Nazajutrz kupioną została nowa karetka przez pana Dagand, który także czuć już zaczynał i pojmował całą rozciągłość nowych swoich obowiązków. Ale tegoż dnia jeszcze spostrzeżono, że niepodobna do tej karetki — istnego cacka! — zaprzęgać starego konia, który ciągnął tamtę starą karetkę, i że również niepodobną jest rzeczą posadzić na koźle starego stangreta, który starym koniem powoził.

I dlatego to we Czwartek, dnia 25 Kwietnia, o pół do jedenastej wieczorem, śliczna klacz skarogniada, którą powoził wspaniały stangret Anglik, wiozła do Palmerów oboje państwa Dagandów. Brakowało przecież jeszcze jednej małej, niewielkiej rzeczy. Obok stangreta Anglika powinien był siedzieć mały *groom*. Trzeba jednak być delikatną i miarę zachować w żądaniach. Najpiękniejsza w całym Paryżu osoba miała zamiar przeczekać z jakie dni dziesięć i potem dopiero poprosić o małego *grooma*.

Wstępując na schody Palmerów, czuła wyraźnie każde uderzenie serca, które mocno, bardzo mocno biło pod suknią, z rąk pana Artura wyszłą. Czuła to pani Dagand, że rozgrywiają się jej losy. Wiedziała, że Palmerowie powtarzali wszystkim: „Bądźcie państwo u nas we Czwartek; zobaczycie panią Dagand, najpiękniejszą w Paryżu osobę.” Podniecało to ciekawość ludzką i zazdrość także potrosze.

Weszła pani Dagand do salonu i w pierwszej zaraz chwili doznała rozkosznie słodkiego uczucia, jakim przejmują kobietę pewność, że się jej uroda podoba. Istnym tryumfalnym marszem kroczyła przez długą galerię pałacu Palmerów. Szła krokiem pewnym i śmiałym, wyprostowana, z podniesioną do góry śliczną główką, ze splecionymi na sukni rękoma! Zdawać się mogło, że nic nie widzi i nic nie słyszy, ale jak wybornie widziała! jak czuła na swoich ramionach ogień, którym ją paliły spojrzenia wszystkich obecnych! Ślad jej przejścia zaznaczał się szmerem niby szmerzącej uwielbieniem fali, a żadna na świecie muzyka nie mogła być słodsza dla jej uszu!

Tak, niewątpliwie, wszystko idzie jak najlepiej. Niebawem Paryż cały podbije! I pewna siebie, za każdym krokiem coraz więcej siłom swoim ufająca, coraz lżejsza i coraz śmielsza, szła wsparta na ramieniu Palmera, który wymieniał jej, idąc, nazwiska hrabiów, margrabiów, książąt.

Idąc, rzekł jej Palmer:

— Szukam właśnie i chcę pani przedstawić jednego z gorących jej wielbicieli... księcia Agenora de Nérius... Parę dni temu widział panią w Operze i zachwycony był... zachwycony... O niczym innym mówić nie mógł nawet, tak go piękność pani zachwyciła.

Ona zaczerwieniła się jak wiśnia. Palmer okiem na nią rzucił i śmiać się zacząwszy:

— Aha! czytała pani ów dziennik? ów artykułik?

— Tak... widziałam... czytałam....

— Ale gdzież jest książkę Agenor? gdzie jest? Widziałem go w ciągu dnia... mówił mi, że wcześniej tu przybędzie.

Nie sądzono było pani Dagand poznać księcia de Nérius tego wieczora. Miał on wprawdzie zamiar być u Palmerów i obrzędować przy apoteozie swojej regentowej. Zjadłszy jednak obiad w klubie, dał się namówić na widowisko w małym jakimś teatryku. Grano tam po raz pierwszy operetkę, wedle modły klasycznej ulaną. Główną bohaterką sztuki była młodziutka monarchini, zawsze ukazująca się na scenie w towarzystwie czterech nieodstępnych panien honorowych.

Z pomiędzy tych młodych pań, trzy dobrze już były znane publiczności, na pierwsze przedstawienia uczęszczającej. Występowały już nieraz w niejednej feery i w niejednym końcowym obrazie operetek — ale czwarta... O! ta czwarta! Jakaś świeżo przybyła, wysokiego wzrostu brunetka olśniewającej urody... Ogólny wzbudzała zapał, ale najzapalniejszym okazał się książę de Nérius: do szału prawie dochodził. Najzupełniej zapomniał, że po pierwszym akcie wyjść musi. Sztuka skończyła się bardzo późno, a książę był jeszcze w teatrze. Żadnej uwagi nie zwrócił na sztukę, najmniejszej na muzykę, nie widział i nie spostrzegł nic, prócz tej precudownej, zachwycającej brunetki, nic nie słyszał prócz jednej jedyniej strofki, którą ona w środku drugiego aktu sfalszowała najniegodziwiej w świecie. A w chwili wyjścia, dowodził książę każdemu, kto go chciał słuchać:

— To brunetka! widzieliście tę brunetkę, co? W żadnym teatrze niema nic do niej podobnego! To najpiękniejsza osoba w Paryżu... Naj-pięk-niej-sza!

Była już pierwsza po północy. Książę zadawał sobie pytanie: iść jeszcze do Palmerów, czy nie iść? Biedna pani Dagand! niebrzydka, to prawda, kobiecina, ale czyż mogła nawet iść w porównanie z tém nowém cudem? Zresztą, książę Agenor systematycznym był człowiekiem. Nadeszła pora, w której codziennie grywał w wista; poszedł więc grać w wista.

Nazajutrz rano, pani Dagand znalazła w dzienniku swoim pod rubryką „Notatek z wielkiego świata” najwyżej dziesięć wierszy o balu u Palmerów. Wymieniano obecne tam margrabiny, hrabiny i księżne, o niej jednak, o pani Dagand, ani słówka.... Ani jednego słoweczka!

Natomiast autor sprawozdania teatralnego, w słowach tchnących zachwytem, wychwalał urodę tej idealnie pięknej panny honorowej dworskiej i dodawał: „Zresztą, książę de Nérius oświadczył, że panna Miranda jest niezaprzeczenie najpiękniejszą osobą w całym Paryżu.”

Pani Dagand w ogień rzuciła ów dziennik. Nie chciała, żeby się mąż dowiedział, że przestała już być *najpiękniejszą*.

Nie zmieniła pierwszorzędnego magazynu, w którym robiono jój suknią do Palmerów na skromniejszy, i nie odprawiła stangreta Anglika, ale nigdy się już nie ośmieliła poprosić męża o *grooma!*

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/najpiekniejsza>

Tekst opracowany na podstawie: Ludovic Halévy, *Najpiękniejsza*, Drukarnia S. Lewentala, Warszawa 1889.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: [nosha@Flickr](https://www.flickr.com/photos/nosha/), CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0293-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).